

HENRYKA GŁOD /Folwarczny/

/nagranie w Gliwicach w lipcu 1995 r. przez M. Gizejewską/

Urodziłam się 18 stycznia 1921 r. we Lwowie. - przy Pl. Bernardyńskim 3. Tam mieszkałam przez 24 lata. Rodzice moi byli ludźmi bardzo szanowanymi. Mama - jak to było wówczas w zwyczaju - nie pracowała, zajmowała się wychowaniem dzieci i domem. Ojciec był kierownikiem Biura Podatkowego w Izbie Skarbowej. Dzieciństwo było sielskie, anielskie. Szkołę powszechną ukończyłam u sióstr Benedyktynek, a gimnazjum - liceum u sióstr Notre-Dame. Szkoła była wspaniała, wychowawców mieliśmy doskonałych. Wpoili w nas trzy zasady: Bóg, honor i Ojczyzna. - te najważniejsze zasady, które w nas przez całe życie tkwiły. Dom, kościół, szkoła to było jedność - wychowanie wszędzie tam było jednakowo prowadzone.

~~W 1939 r. kiedy wybuchła wojna~~ Mama była osobą bardzo piękną, uzdolnioną muzycznie, pięknie śpiewała i grała na cytrze. Tato też śpiewał i trochę grał na fortepianie. Myśmy - jak to panienki z tzw. dobrego domu - musiałyśmy się uczyć na fortepianie, po francusku i być dobrze wychowanym. Koleżanki miałam też bardzo miłe, bo u sióstr Notre-Dame panowała atmosfera i szkolna i rodzinna jednocześnie. Uczono nas tam również poprawnego zachowania /siostra Reginalda/. Żadnej bigoterii nie było. Ja należałam do "Sodalicji", wierzyło się w Pana Boga i ta wiara tkwi w dalszym ciągu, ale przesady nie było. Ale ta wiara później ogromnie w życiu pomagała - to był fundament, na którym myśmy zbudowały nasz wewnętrzny i który nam pomagał przeżyć te wszystkie okropności, które nas później spotkały.

Maturę zdałam w 1939 r. w maju, a we wrześniu zaczęła się wojna. Nas - jako tzw. burżujów /mieliśmy we Lwowie kamienicę i w Krzywczykach wille/ - na szczęście tylko wysiedlono do Sichowa /10 km od Lwowa/ i tam byliśmy przygarnięci w takiej chałupie chłopskiej aż do momentu wkroczenia Niemców do Lwowa. Ojciec pracował w administracji domów, a mama, która świetnie władała językiem niemieckim poszła do .....

i pracowała we "wowie, dzięki temu, że tam mieliśmy własną kamienicę. Ja pracowałam w Inst. Weigla - jako preparatorka wszy. Ponieważ ja dobrze śpiewałam, więc śpiewem umilałam pracownikom życie, a oni za mnie tę wszy preparowali. I bardzo było przyjemnie.

Po wkroczeniu /powtórny/ Rosjan do Lwowa naturalnie urwała się praca u Weigla i zapisałam się do szkoły muzycznej - do klasy śpiewu. Najpierw uczyłam się śpiewu prywatnie u pani ~~Zofix~~....., a potem ona postanowiła wyjechać do Polski /tzn. co PRL-u/i chciała mnie zabrać ze sobą. Ale moja mama, która uważała, że dzieci powinny być przynajmniej nie chciała mnie puścić. Oprócz mnie była jeszcze młodsza ode mnie o dwa lata siostra i młodszy o pięć lat brat. /Siostra jeszcze żyje, brat zmarł jako 50-letni człowiek/.

W szkole muzycznej uczyłam się - aż do momentu aresztowania mnie. Byłam w AK od 1942 r. Wciągnął mnie znajomy, który potem został aresztowany przez Niemców i był w Buchenwaldzie. To był Tadeusz Sury. Już nie żyje. Dostałam od niego jeden jedyny list jeszcze z więzienia na Łąckiego. Zdażyłam mu podać paczkę i list, w którym prosiłam, aby napisał do swojej matki - staruszki. Potem do Buchenwaldu posyłało się paczki, ale wiadomości stamtąd żadnych nie było. Wrócił jednak z obozu, ale ja już byłam wtedy aresztowana. Po wojnie mieszkał we "rocławiu.

W AK byłam łączniczką i miałam u siebie punkt kontaktowy. Nazwisk kolegów nie znam, tylko pseudonimy. Pamiętam tylko pana Zygmunta Cebulskiego, który nie chciał wstąpić do Armii Berlinga i z częścią chłopców przedarli się na wschód i tam - prawdopodobnie w jakiejś potyczce z partyzantką rosyjską czy ukraińską - zginęli. Ale dokładnych informacji na ten temat nie mam. Po powrocie z obozów spotkałam w Bytomiu pana Czajkowskiego, który też ze mną wtedy współpracował. Pracował we "wowie w Zakładzie dla Głuchoniemych, też został wywieziony na Syberię i żeby uniknąć pracy w lesie usiał sobie dwa palce u ręki.

Ja miałam pseudonim "Toja", a komórka, w której pracowałam nazywała się "Wiosna". Szefem był T. Sury.

Oprócz nauki w szkole muzycznej musiałam pracować w Poliklinice przy

ul. Franciszkańskiej, przy której też mieszkałam.

Pewnego razu do nas do domu zadzwoniła jakaś pani w czerwonym bereciku z rudym litem na szyi, i mieszaną polsko-rosyjską mową zapytała, czy tu mieszka Henryka. Mama wpuściła ją do pokoju, spytała, czy mamy wille w Arzywczycach. Mama odpowiedziała, że tak. Prosiła, żebym przyszła pod wskazany adres, bo oni chcą ze mną na ten temat porozmawiać. Mama zaproponowała, aby może ona poszła, bo to jej własność, a nie córki, ale tania prosiła, żebym ja się zgłosiła. Na drugi dzień poszłam na Łąckie, bo tam mi kazali przyjść. To był 13 grudnia 1945 r. Wprowadził mnie mój brat - do rogu, dalej mu nie pozwoliłam. Zastukałam, otworzyło się okienko i bojec pyta czego ja chcę. Pokazuję mu ten papier-wezwanie, a ten: "Idi odsiuda diewuszka, idi, siejczas". Odpowiedziałam, że nie mogę, bo kazali mi tu przyjść. Ten jeszcze mi radził, żebym odeszła, ale ja uparłam się i "mądra" weszłam.

A byłam w takim napięciu nerwowym, że zanim mnie wprowadzili na parter - schodami w dół, to chyba ze trzy razy zemdląłam. Ja po prostu wiedziałam, że mnie zaaresztują. Przesłuchiwała mnie ta kobieta, która przyszła do nas do domu. Wypytywała się o lekarzy, których znam, wymieniałam nazwiska wszystkich, których znałam od dzieciństwa, ale jej ciągle było mało..... Wreszcie spytała: "A Mieczysława Zielińskiego znasz?" Mówię, że znam, ale to przecież nie jest lekarz. Okazuje się, że ten pan, którego ja poznałam w Sichowie, jak byliśmy wysiedleni, wpadł, podobno był strasznie bity, tak że przynosili go do celi i "zakapował" 12 osób, m.in. mnie.

Najpierw mnie zamknęli w piwnicy, siedziałam tam ze 3-4 dni, bez żadnego jedzenia i picia - żebym "skruszała". Potem zawołani mnie na górę i ta śledcza kazała mi przynieść zupę fasolową. Ja w życiu tak smacznej zupy nie jadłam.....

Potem odebrano mi pierścioneł, kolczyki, zegarek i medalik z Matką Boską. I o dziwo, to wszystko zostało zwrócone mojej mamie.

ponieważ w czasie przesłuchania mówiłam, że ja nie należę do żadnej organizacji, to zaczęła mi grozić, że zaaresztowane moich rodziców

i rodzeństwo i ojciec podobno powiedział, że należałam do organizacji itp. Człowiek jeszcze wtedy był naiwny, przeraziłam się, więc uważałam że lepiej będzie jeśli tylko ja będę aresztowana, a ich wypuszczą, bo przecież tylko ja należałam do AK. Więc powiedziałam, że tak, należałam do AK. - normalnie mnie sprowokowali, co było ich stałą metodą.

Wówczas śledcza pozwoliła mi się przespać na takiej leżance w pokoju śledczym. Ja zasnąłam i miałam sen: idę po schodach na górę, klucze tego człowieka, który mnie prowadzi dzwonią o te wszystkie metalowe kraty, prowadzi mnie i staje przed celą 126. i otwiera mi tę celę. I w tym dniu byłam zaprowadzona do celi 126.....

Tam siedziała jedna młoda Ukrainka, rzeczywiście zupełnie niewinna, bo przypadkiem miała imię i nazwisko banderowki, którą poszukiwano.

Tam spędziłyśmy chyba z miesiąc. Były ciągłe przesłuchania, z tym, że strasznie bili, że miała na sobie całe ubranie podarte. A ja idąc do więzienia ubrałam się w co tylko mogłam - miałam kilka par majtek, parę bluzek itp. Więc podzieliłam się z nią ubraniami, bardzo mi była wdzięczna. Sliczna dziewczyna, nawiasem mówiąc. Ponieważ te "woprosy" były w nocy, więc żeby o tym nie myśleć, prosiła mnie, żebym jej opowiadała filmy. Tyle jej filmów naopowiadałam, książek, ona tylko siedziała i słuchała. Kiedyś jej zaproponowałam, żebyśmy się pomodliły do św. Judy Tadeusza. - może nam pomoże. A ja miałam szczęście w nieszczęściu - bo jak śledczy /nazywał się Judakow/ zbliżał się do mnie z pałką, to ja od razu mdlałam. Więc zamiast mnie bić on biegł po karafkę z wodą. A przedtem nigdy nie mdlałam. I zaczęłyśmy odmawiać litanie do św. Tadeusza /w domu zawsze było do niego wielkie nabożeństwo/. I w dziewiątym dniu nowenny obie zakończyłyśmy śledztwo. Można powiedzieć, że był to zbieg okoliczności, ale uważam, że to nie był zbieg okoliczności, że to była jakaś Siła Wyższa....

Po zakończeniu śledztwa ona zaczęła dostawać paczki. - wory z cebulą z czosnkiem, chlebem i mogłyśmy się trochę odżywić. Ja paczek nie dostawałam. Dopiero po skończeniu śledztwa dostałam pierwszą paczkę i udało

mi się przemycić taki liścik do rodziców, który się zachował.

W lutym 46 r., przy ul. Długosza sądziła słynna "Trojka". I wtedy ostatni raz widziałam moją mamusię. Jakimś cudem udało się jej przedrzeć do tej poczekalni i tylko mi pokazywała na nigi, żebym się nie zdradziła że ją poznałam.... Straszne to było....

Naturalnie miałam obrońcę z urzędu. A ze sprawy nic nie pamiętam.. Wtedy czas płakałam. Coś tam czytali po rosyjsku, a ja wtedy w ogóle nie znałam tego języka. zrozumiałam tylko, że ten mój obrońca mówił, że ponieważ jest to osoba młoda, więc prosi o łagodny wymiar kary. Dostałam 10 lat i 5 lat p.p.ob. Na szczęście nie dostałam konfiskaty mienia. - bo przecież rodziców ogołociliby zupełnie. Był to paragraf ukraiński 54 x 1 / = 58 1a ros./.

Co pewnym czasie przewieźli nas do obozu przejściowego przy Kętkowej. Tam siedzieliśmy dość długo. Dostawałam paczki od mamy. Ostatnia paczka przyszła przed Wielkanocą 46 r. i cała paczka w środku była wyłożona fiołkami..... Więcej płakałam niż jadłam z tej paczki.

W tym obozie sale były bardzo duże, leżało się na podłodze, na własnym ubraniu. Pewnego razu wchodzi bojec i pyta, czy jest tu jakaś manikiurzystka. Naturalnie ja od razu się zgłosiłam. Zaprowadzili mnie do pomieszczenia, w którym siedział więzień - Ukraińiec, nazywał się Sawczenko, prawdopodobnie jakiś złodziejaszek i lepił dla całego naczalstwa szachy z chleba. Pięknie to robił. Ten człowiek okazał się dla mnie bardzo życzliwy. Ja robiłam manicure tym wszystkim naczelniczkom i innym babom. i jeszcze jednemu oficerowi. I dzięki temu Ukraińcowi dostałam się na Kołymę, a nie do żadnego syberyjskiego obozu. To było właściwie szczęście.....

Bo to co słyszałam o sybirskich obozach, to były straszne rzeczy.... Jak tylko był jakiś transport, to ten Sawczenko dowiadywał się, gdzie idzie i wtedy moje akta szły pod spód /miał chody u naczalstwa/. Kiedyś powiedział, że już nic więcej nie może nie zrobić, ale jest transport na Kołymę - "jedź". A ja o Kołymie nic nie słyszałam...

Transport był w kwietniu - w pierwszym dniu Wielkiej Nocy. Prowadzili nas z psami na dworzec główny we Lwowie, ludzie szli do kościoła - to

okropne.... każadowali nas do wagonów. I prawie w tym samym czasie rodzice pojechali do PRL-u /mama mi napisała, że wyjeżdżają/, a ja pojechałam na wschód.

" W wagonie było chyba ok. 30 osób. Urki oczywiście od razu zajęły sobie prycze, ja spałam na podłodze. Z Polek byłam tylko ja i taka Żydka-Polka. Ale jakoś ta podróż minęła. Z Polkami spotkałam się dopiero w Buchcie Nachodce. Jeśli chodzi o podróż, to niewiele pamiętam, bo mnie się w pewnych momentach urywa film. Byłam tak naprężona nerwowo, że nawet głodu nie odczuwałam. Pamiętam tylko, że przez okienko jadąc przez Sybir widziałam te przepiękne brzozowe laski i pamiętając historyczne książki o naszych zesłańcach myślałam -"wreszcie widzisz jak to wygląda".

W Buchcie Nachodce nablizej zaprzyjaźniłam się z Nelą Kozak /później Mackiewiczową/. Już w czasie pierwszej rozmowy - kiedy do nich podeszłam zostawiając swój pakunek, to jak wróciłam - plecaczka już nie było. Zostałam tak jak stałam - w zimowym płaszczu, buty na nogach i bielizna.

Poszłam do naczelnika z rykiem, że mnie okradli, obiecywał - poszukamy, poszukamy, ale skończyło się na niczym.

W obozie przejściowym w Nachodce byliśmy niedługo. Trzymałyśmy się z Nelą, zakrętownali nas /to już był trzeci transport w tym sezonie/, ale nazwy statku nie pamiętam. Miałyśmy miejsce z Nelą na samym dole - prawie że w wodzie.

Przyjechałyśmy do Buchty Nagajewa i stamtąd na piechotę do Magadanu. Mnie były objuczone swoimi tobołami, a ja szłam z pustymi rękoma i myślałam, jak to dobrze, że mnie okradli - nic nie mam do dźwigania. Ja zawsze byłam lekkomyślna, wariatka.

W Magadanie zaprowadzono nas do bani, dostałyśmy "kazionnyj" strój - miałam pończochy szyte z materiału. Potem zaprowadzono nas do obozu.

Obóz kobiecy duży był prawie w centrum Magadanu i tam nas rozdzielono po barakach.

I B

W obozie w Magadanie /normalnym/ spotkałam same starsze panie, które były aresztowane w 1957 r. - sama inteligencja. rosyjska. Siedzia-  
łam razem z nimi ja i jedna Polka /Żydówka/ Dora Greczanin. Te panie bar-  
dzo życzliwie się mną zajęły. Zwłaszcza jedna - Jelena Aleksandrowna Rubin-  
stein pochodząca z Moskwy /była sekretarką w jakiejś wysokiej instytucji/  
urodzona w Białymstoku. Jej ojciec był generałem i był głównym leśniczym  
w Puszczy Białowieskiej. Ona zaczęła mnie wprowadzać w arkana życia obozo-  
wego. W dwa dni po przyjeździe do tego obozu przyszła kobieta / z władz/  
do baraku i spytała: "kto siedział artyst?".

Oprócz pani Rubinstein były jeszcze dwie panie ambasadarowe, jedna nazywa-  
ła się Gwoździńska, jej mąż był ambasadorem w Ankarze i tam byli z całą  
rodziną - m.in. z dwojgiem dzieci. Pewnego dnia, w 56 r. dostali telegram  
że muszą się wszyscy stawić w Moskwie. Zapakowali się więc, przyjechali do  
Moskwy, a na dworcu już czekało na nich NKWD - jego wzięli w jedną stronę,  
ją - w drugą, a dzieci - też nie wiadomo gdzie. I ona od tego czasu - do  
46 r. w ogóle nie wiedziała, gdzie się te dzieci znajdują, czy w ogóle żyją  
czy mąż żyje, niczego nie wiedziała. To był szalenie miły, kulturalny i pe-  
godny człowiek - bardzo przystojna zresztą, trochę w typie gruzińskim.

W tym obozie - to może śmiesznie brzmi - ale wieczory były bardzo przyjem-  
ne. W baraku było bardzo czysto, wszystkie kojki były zaścielone białym  
prześcieradłem /pościel miałyśmy/, przy wejściu do sali stał olbrzymi piec  
a na środku stał wielki stół na krzyżakach, też nakryty białymi przeście-  
radkami. I wieczorem te panie, które przecież tyle lat przesiedziały w obe-  
zie zbierały się przy tym stole, niektóre wyszywały, inne czytały, a jed-  
na pani, która znała na pamięć całego "Eugeniusza Oniegina" - recytowała  
go od czasu do czasu. Ja jeszcze wtedy bardzo słabo znałam język rosyjs-  
ki, ale ona tak wspaniale recytowała, że dużo się z tego nauczyłam.

Weszcze jedna pani naśladowała półanalfabetkę, która się uczy czytać - my-  
śmy boki zrywały ze śmiechu. w gronie tych starych kobiet, które się  
pogodziły ze swoim losem, które zupełnie nie wiedziały, kiedy wyjdą na

wolność, panowała pogodna atmosfera. Wszystkie pracowały. Mając wyroki po 5 lat - wyszły na wolność dopiero po śmierci Stalina.

Podobno, jak przywieziono je w 1946 r. wywieziono je w tajgę. - na wyręb lasu. Podobno było to straszne. Były to starsze kobiety, nigdy nie pracujące fizycznie, w tym mrozie, lub w ostrym wiosennym słońcu, przy którym ludzie nawet tracili wzrok - wyglądały podobno jak zjawy.

Wracając do moich losów - po wejściu i pytaniu tej kobiety - kto tu jest artystą - ta Dora zaczęła mnie namawiać, żebym się zgłosiła. Na początkowo miałam opory, ale w końcu się zgłosiłam.

Zaprowadzono nas do klubu /w każdym dużym obozie był klub - dla Kultury, tam była scena i widownia. Tam siedziało trzech panów, którzy nas przesłuchiwali. To byli cywile - wtedy nie wiedziałam, kim są. Kazali mi coś zaśpiewać. Zaśpiewałam arię z "Halki" - "O mój maleńki...." I przyjęto mnie. Ale po tygodniu w ogóle straciłam głos i przez dwa miesiące nie mogłam mówić. Był to prawdopodobnie skutek zmiany klimatu i nerwów. Ale zostałam nadal w "kultbrygadzie". I muszę powiedzieć, że nawet bardzo o mnie dbano. Była tam naczelniczka Kalinina, która pewnego dnia wezwała mnie do siebie. Poszłam z drżeniem serca. A kilka tygodni wcześniej ukradli mi moje buty. - bardzo porządne półbuty. Jedna z Ukrainek - Olga Borbol ~~xx~~ dała mi spody z drewniaków. Ucięłam kawałek spódnicy, apomieważ w czasie wojny zarabiałam m.in. wyrobem drewniaków, więc tu bez kłopotu zrobiłam sobie drewniaki. I to doszło do tej naczelniczki obozu. po wezwaniu spytała, czy to prawda, że ja umiem te "sapogi" robić. Opowiedziałam jej całą historię. I na drugi dzień kazała mi się położyć do samczasti, żebym wypoczęła i podkarmiła się. Nawet mnie tam mleczkiem poili. - żeby mi się ten głos odblokował.

Poprawiło mi się. W tej kultbrygadzie było naprawdę wielu wspaniałych muzyków: aresztowani artyści z Teatru Maryjskiego w Leningradzie, z Teatru Wielkiego w Moskwie i z Ajowa, z Charbina z Odessy itp. Byli i śpiewacy i instrumentalisci. Myśmy tam mieli normalną orkiestrę symfoniczną. kiedy wyzdrowiałam, a zbliżały się uroczystości Rewolucji Paź-



A ja po rosyjsku mówiłam tak, że wszyscy umierali ze śmiechu. Co robić? Nie dam rady po rosyjsku. Wówczas naczelnikiem był Nikiszow, a jego żona była taką wielką zwolenniczką naszego teatru. /To był "Magadański Teatr Estrady"/. Nikiszowowa była malutka, okrągłutka - w typie Niny Gorbaczowowej. Była bardzo sympatyczna i dla nas bardzo życzliwa - lubiła artystów. Do tego stopnia, że mnie pozwolono na tych uroczystościach śpiewać arię Rozyny po włosku i "Życzenie" Chopina po polsku - więc to był ewenement.

Magadan, w tym Dom Kultury, był w dużym stopniu wybudowany przez jeńców japońskich - bardzo porządnie, solidnie. Dom Kultury był im. Gorkiego i tam odbywały się te przedstawienia. To już nie była normalna objazdowa "kultbrygada", tylko stały teatr w Magadanie. Ale jeździliśmy również z koncertami po trasie, bo przecież w Magadanie nie było aż tylu ludzi. Dawaliśmy dwa, trzy spektakle w sezonie. To były koncerty: pierwsza część to był koncert muzyki poważnej /arie operowe, wyjątki z baletu, utwory symfoniczne/, a druga część była lżejsza: operetki, tańce narodowe /byli dwaj tancerze Gruzini - świetni/. Poza tym były przepiękne dekoracje - po odsłonięciu kurtyny same dekoracje dostawały brawa.

Pracował tam jeszcze jeden Polak, później przyszedł ode mnie - Zbyszek Cleksiński. On był chórmistrzem. To był strasznie nerwowy człowiek. Bardzo dużo palił. Zmarł na Kołymie <sup>na gruźlicę</sup> - na tzw. Lewym Brzegu, gdzie było sanatorium. W teatrze prowadził chóry.

Wystawialiśmy też operetki, śpiewaliśmy np. do Tańców Połowieckich /z "Kniazia Igora"/. To był naprawdę teatr na poziomie.

Reżyserem był Wałpachowski - Rosjanin, z pochodzenia Żyd. Jego dziadek był chyba z poznańskiego, a potem rodzina przeniosła się do Rosji. Ten reżyser siedział ok. 15 lat, po zwolnieniu pojechał do Armenii i tam też był reżyserem. Widziałam nawet film przez niego reżyserowany. Był to bardzo inteligentny człowiek i wszystko co wystawiał w Magadanie to było wszystko naprawdę na poziomie. Był uczniem Mayerholda, jak Mayerholda aresztowali, to jego uczniów też zaczęli wyłapywać /w 36r./

Publiczność składała się z byłych więźniów przebywających na zsyłce lub pracujących już na wolności oraz "wolnonajemnych" - ludzi którzy przyjeżdżali do pracy na tzw. "dogowor" - czyli na unowę o pracę. Ci przyjeżdżali na trzy lata, w tym okresie nie mieli urlopu, mieli płace prawie 100% wyższe. Po trzech latach urlop miał dwa miesiące, jechał na "matierik" a potem, jeśli chciał, to przedłużał ten "dogowor". Oprócz tych ludzi przychodziła naturalnie "generalicja" wojskowi.

Opowiadała mi pianistka /wspaniała/ Zoja, aresztowana w 34 czy 35 r., jak wtedy wyglądały koncerty - bo już tworzyli takie małe kulturalne brygady. Na początku 40-tych lat siedziała generalicja z żonami, sala pełna wojskowych artyści grają, śpiewają, a po skończeniu każdego utworu - nie było ani jednego brawa. Publiczność nie klaskała, bo to grali "zakliuczonyje" grali - nie wolno było dla więźniów klaskać - to byłby dyshonor. Ta Zoja dzień przed zwolnieniem popełniła samobójstwo - nie wytrzymała nerwowo.

Już w moich czasach to sala już huczała od oklasków. Publiczność była inna, poza tym to było po wojnie.

Ale na próby do teatru chodziliśmy dwa razy dziennie - pod konwojem. Był taki malutki konwojent, nazywał się Muzyczenko. Ja go bardzo lubiłam, to był Ukrainiec, poczciwina, bardzo sympatyczny. Czasem ja chciałyśmy wyjść z teatru sobie coś kupić - to zawsze pozwolił. Kiedyś siedzieliśmy, ja wyszywałam dla pani Nikiszowowej bluzkę - krzyżykami na ~~prepdeszynie~~ <sup>am.</sup> i tak sobie z nim rozmawiałymy. Spytałam go wówczas od kiedy i skąd on się tu wziął. Odpowiedział mi, że przyjechał prosto z zachodniego frontu - prosto - w wagonie zaplombowanym - żeby przypadkiem nie powiedział jak ten zgniły kapitalizm wygląda. A im oczy wyłaziły z orbit, jak widzieli te Niemcy - nie wyobrażali sobie, że tak może być.

Jeździliśmy z występami na Trasę, np. do Ust'omczuga, do Susuman Jagodnego - do większych obozów, bo to jednak była duża grupa ludzi.

Ja cały czas mieszkałam w obozie w Magadanie. Ale okradali mnie chyba ze siedem razy, ponieważ ja zawsze starałam się coś sobie uszyć, wyhaftować - żeby wyglądać jak człowiek. Jak mnie kolejny raz okradli, to poszłam do tej naczelniczki Kalininy ze łzami i ona mnie przeniosła do baraku dla artystów. Bo był tam osobny barak. Tam już było spokojniej. Mieszkała tam zabawna dziewczyna, która tańczyła - Ukrainka, śliczna dziewczyna, z głuchej wsi. Ona miała swoją kojkę /łóżko/ - jak każdy, ale ona przykrywała ją prześcieradłem, które wyrównywała szczotką i za żadne skarby w dzień nie usiadła na niej, żeby się nie pogniotło. Nawet jak zmęczone przychodziliśmy z próby, to ona kładła się na podłodze - obok kojki.

W ogólnym obozie, stosunki między więźniarkami nie były złe. Ja tam spałam na górnych narach /tam były podwójne/ - tam leciały na mnie pluskwy z sufitu - jak deszcz, potem przeniosłam się na dolne nary. Naprzeciwko mnie leżała Rosjanka - Żydówka - też Gennerietta /tak ją nazywała - z rosyjska/. Ona świetnie władała językiem japońskim. A ponieważ na początku naszego pobytu byli jeszcze w Magadanie Japończycy to ona była tłumaczem. Po wyjeździe Japończyków /chyba w 1948 r./ przenieśli nas do ich obozu i byłam zachwycona - było niezwykle czysto, przed barakami były zrobione trawniczki, rabatki, wszystko ogrodzone. A przecież oni też bardzo ciężko fizycznie pracowali - przy budowach, kopaniu itp. Ale to było wojsko i mimo tego zmęczenia oni mieli czas, żeby to wszystko zrobić. Był to napewno rodzaj oporu, a poza tym oni to lubią, szanują czystość, porządek - tak zostali wychowani.

Do naszego poprzedniego obozu wprowadzono natomiast mężczyzn. I wówczas po raz pierwszy widziałam tych wymęczonych więźniów. Bo mężczyznom było tam jednak strasznie, kobietom - mimo wszystko łatwiej... Pierwszy raz widziałam ludzi węszących po śmietnikach, żeby chociaż główkę od śledzia znaleźć.... Czarni, zarosnięci, brudni...

Tienka  
W 1949 r. ja z Magadanu zostałam wysłana do brygady w Tienkie /Tienka/ - szosie Lenkińskiej. To była miejscowość większa niż posesiołek. Tam była mniejsza kultbrygada. Wtedy jeszcze - jako artystka nie miałam numeru. Dostałam go potem - jak przestałam być artystką. Miałam - Z-306.....

Tam z kultbrygadą też jeździliśmy po obozach z koncertami. Byliśmy na Wakchance, tam spotkałam Dzikę Bizand. Byłam przerażona jej widokiem - chuda, bez zębów, głodna, szara. Bardzo się ucieszyliśmy ze spotkania, ja znałam jej stryja ze "wowa" - był pułkownikiem, jego żona też wywieziona na Sybir. Ucieszyłam się, ale przeraziłam jej widokiem nie wszyscy jednak tak wyglądali, ale ona obóz jakoś strasznie ciężko przechodziła.

Potem pojechałyśmy do Buduguczagu - u mężczyzn. To było straszne. W każdym dużym obozie był tzw. dom kultury - czyli duży barak, który przeważnie stał pusty. Jak myśmy przyjeżdżali, to taki barak ogrzewano żeby "artistom" było ciepło. W Buduguczagu ja śpiewałam arię Violetty z "Traviatty", byłam ubrana w przepiękną suknię błękitną z dużym dekoltem, a pod spodem - wataowane spodnie i walonki, bo było tak zimno, że nie odważyłam się wyjść bez tych spodni - w samej sukni. A na widowni straszny widok tych mężczyzn - czarnych, w buszłatach, uszankach, chudych, z błyszczącymi oczami wpatrzonymi w kobiety.... Oni wyglądali strasznie. Ja wiem, że były obozy, że mężczyźni przez 15 lat nie widzieli żywej kobiety. i tam naczelnik nawet nie ośmielił się swojej żony przywieźć. Na te koncerty z nami zawsze jeździł bojec - bardziej jako nasza ochrona niż straż....

## II A

W czasie tej podróży - bardzo długiej trasy spaliśmy w domu dróżnik. W pewnym momencie drzwi z trzaskiem się otwierają i wlatuje kilku mężczyzn. i naturalnie do nas chcą się dostać. Ten hojec wystrzelił w powietrze i kazał nam się obronić. Nasi panowie, którzy też byli w tej grupie przecież nie mieli czym nas obronić. Tamci to byli prawdziwi zbóje, z nożami itp.

Na jednej trasie, daleko na północy, zastało nas Boże Narodzenie. W tej brygadzie byłyśmy tylko dwie katoliczki - ja i jedna Litwinka Władzia. Myśmy chciały jakoś tę Wigilię spędzić, więc zaproponowałam Władzi, że wyjdziemy przed barak, przełamamy się opłatkiem /czyli tym czarnym chlebem/ i złożymy sobie życzenia. Wyszłyśmy z barakau ok. 10-11-ej wieczorem i nagle patrzę, a nade mną nie ma nieba - tylko jakieś płuco - przelewające się różnymi kolorami i jakby oddychające. Przewijały się takie kolorowe stęgi - buraczkowo-czerwone, zielono-turkusowe... To było coś wspaniałego. To oczywiście była zorza polarna. Podobno tylko co dwa lata występuje i akurat miałyśmy szczęście ją zobaczyć. Od czasu do czasu pojawiały się takie błyski. To było nadzwyczajne wrażenie. Pomyślałam że strasznie mi tu jest, ale ten widok okupuje wiele wiele przykrych chwil z tych obozów....

W tym obozie naczelnik zażądał, żebym się nauczyła grać na akordeonie. Ponieważ ja się uważałam za "aktrisę pierwszego położenia" więc odmówiłam - "ja jestem śpiewaczką i na żadnym akordeonie nie będę grała." Więc on mnie z tej kultbrygady posłał na "lesopowal". To było chyba na 72-gim kilometrze od Magadanu. To było w zimie. Ja umiałam trochę piłą władać, ale nie taką pojedynczą. Do pary miałam Ukrainkę - fest-babę. Przyjemna była dziewczyna, ale taka prosta, ze wsi. Co ona się mnie nakłęła, bo mnie się zdawało, że to trzeba z całej siły naciskać na tę piłę. Ale jakoś powoli się nauczyłam. Tam byłam przez całą zimę, a w lecie wysłali mnie na sianokosy. To było straszne ze względu na komary i meszki, a mnie te owady bardzo lubią, więc to było okropne. Ale wkrótce dostałam się znów do kultbrygady. w "Wietriennym". To był rok 1950. - jesień. Wietriennyj to był posiołek, gdzie było samo złoto. Zdarzył się tam bardzo ciekawy przypadek. Było to w 51 r.:

Złoto pakuje się do czarnych torebek z bardzo mocnego płótna. Te worki ważą bardzo dużo. I kiedyś zginęła taka torebka złota - i nie znaleziono jej. - ani tego, kto ją ukradł.

- w 1948 r.)

Po Nikiszowie naczelnikiem został Pietrow. Miałam ten zaszczyt, że uczyłam gry na fortepianie ich synów. Jego żona była też miła. Mieszkali w tym samym domu, coby poprzednio Nikiszow i tam chodziłam. Pietrow to był naczelnik "Dalstroju" - olbrzymie chłopsko, przeszło 2 m wzrostu. On był grzeczniejszy, Nikiszow był bardziej "chruszczowski".

Ja mam dużo luk w pamięci, mylą mi się daty. Miałam tam wrażenie że tam jestem, ale to życie toczy się obok mnie - i ja to wszystko obserwuję, tak jakbym w tym nie uczestniczyła. - czy to ja, czy nie ja? To było dosyć dziwne odczucie. Może to pozwalało łatwiej przeżyć. Chociaż mnie pozwalała przede wszystkim przeżyć moja wiara w Opatrzność Boską, w mojego kochanego św. Tadeusza i to, że ja zawsze miałam zajęcie. Ja abstrahuję od kultbrygady. Poza tym szyłam, wyszywałam, robiłam na drutach i nie miałam czasu na rozmyślanie. A np. mężczyźni przychodzili do baraku i nie mieli nic do roboty - kładli się brudni na nary, spali, a jak któryś palił, to była tragedia, bo ostatnią okruszynę chleba oddawał za machorkę. Dlatego chodzili cały czas okropnie głodni.

Poza tym ja z natury jestem człowiekiem pogodnym, może nawet do pewnego stopnia lekkomyślnym.... a może tylko optymistką? Np. jak byłam na lesopowale, gdzie jednak ciężko się pracowało, to mówiłam sobie, że dobrze, że sobie wyrobię siły, bo przecież może jeszcze będziemy z nimi walczyć?

Na "Wietriennym" była bardzo mała garstka kobiet, nie było baraku kobiecego i mieszkaliśmy w prywatnych domach. ~~Ten~~ <sup>ten</sup> posesiołek był nad Kołymą, w której łowiło się cudowne ryby - do tego stopnia, że łowili je kosami, bo płynęły całymi ławami. To była odmiana łososia - coś wspaniałego. Takich ryb już nigdy jeść nie będę. Kotlet zrobiony z tej ryby był trudny do odróżnienia od kotleta wieprzowego.

W "Wieriennym" poznałam bardzo miłego człowieka, który został ojcem mojego syna. To był więzień, jego matka była Polką, a ojciec - Rosjaninem. Pochodził z Tagangrodu /?/. I ten związek uchronił mnie

przed wielkim niebezpieczeństwem, którym był "tramwaj" - jak się już miało jednego mężczyznę, to chroniło, była "święta krowa". Ale jednocześnie miałam tam tzw. pokłonnika. - wielbiciela. Tam była elektrownia zasilająca pryisk. Dyrektorem tej elektrowni był Żyd - inżynier, który przesiedział swoje, potem był "wolnonajomnym" i tam pracował. On ogromnie mnie emablował, do tego stopnia, że prosił mnie, żebym została jego żoną, on napisze do Moskwy, żeby mnie zwolnili. Był bardzo przyjemny, sympatyczny, ale ja nie chciałam. Poza tym miałam tego swego chłopca. Poza występami - rzadkimi - w kultbrygadzie - pracowałam w pracowni krawieckiej. Obok była łaźnia i ten chłopiec pracował w tej łaźni. I tam się poznaliśmy. To był technik-elektryk, bardzo inteligentny, sympatyczny. Aresztowany był w 1945 r. - po wojnie. Była miłość, ale idylla się skończyła z chwilą, kiedy zaszłam w ciążę. Spotykaliśmy się w łaźni, kiedy on miał dyżur. Nadzieratel o tym wiedział, ale nic nie mówił - wszyscy wiedzieli o naszym romansie. Gdybym się szwendała z wieloma, to ja bym była świnia, a ponieważ miałam tylko jednego, więc ja byłam "ta porządna kobieta". i miałam święty spokój.

Jak się okazało, że jestem w ciąży - to zgodnie z przepisami - zabrano mnie z tego obozu i przewieziono na Chinikandzę. To był 1951 r.

W Chinikandży, ponieważ początkowo w ogóle nie było widać po mnie ciąży, pracowałam jakiś czas w odkrywkach /tamx były złoża złota/, ale niedługo /przechodziłam badania/ przenieśli mnie z prac fizycznych - od czasu kiedy poczułam ruchy dziecka. A ponieważ nie widać było tej ciąży, więc /niedawno dowiedziałam się od Ziuty Nosowicz/, że mnie wszyscy uważali za "pridurka". Czyli taką osobę, która miga się od pracy, szwenda się po obozie itp.. A ja znalazłam sobie zajęcia nie wymagające wysiłku fizycznego /szycie, haftowanie itp./.

I 22 sierpnia 1951 r. urodziłam mojego syna. Tam była taka sanczast do której kobiety przyjeżdżały rodzić. Poród nie był ciężki. Miałam 30 lat, ale ja byłam ciemna masa, jeśli chodzi o te sprawy. Mieszkałam z Janką Stundis w jednym baraku. Pewnego dnia miałam wielki apetyt,

ubikacji i poczułam, że nagle coś wyleciało. Powiedziałam Jance, że tak mi jakoś mokro, ona kazła mi iść do sanczasti. To był wieczór, poszłam tam i mówię, że nie bardzo dobrze się czuję, trochę mnie boli, przyszła lekarka, obejrzała mnie, a ona stwierdziła, że jako "pierworówdka" to będę rodzić do rana. I poszła spać. A za 15 czy 20 minut ja krzyczę: "Dziś idzie". Lekarka przyleciała. Była też przy mnie Litwinka-sanitariuszka i bardzo mi pomogła. Mrzymała mnie za rękę i mówiła, że nawet mogę ją gryźć, jakby mnie bardzo bolało. Ale nie "kusałam" jej, normalnie go urodziłam, tylko byłam bardzo ciekawa czy to chłopak. Modliłam się przedtem, żeby to był chłopak i żeby był podobny do mojego brata.

A ojciec Tadzia wiedział, że ja jestem w ciąży, ale zginął jakieś dwa miesiące przed urodzeniem dziecka..... Ja się o jego śmierci dowiedziałam przypadkiem, dużo później. - na szczęście, bo to by mnie bardzo dużo kosztowało.

W sanczasti leżałam, ale tam na drugi czy trzeci dzień kazali wstać, a ja z dawnych lat wiedziałam, że po położu trzeba 14 dni leżeć. Więc powiedziałam, że nie wstanę. i kazałam sobie nawet basen przynosić. I leżałam te 14 dni. Pokarmu miałam bardzo mało, to biedactwo cały czas płakało.

Po 3 miesiącach załadowali te matki z dziećmi i z Chnikandży wywieźli ciężarówkami na 25 kilometr od Magadanu. Było nas chyba ze cztery. Dali na drogę butelkę z mlekiem dla dzieci.

Na tym 25 kilometrze był dom dziecka. Muszę powiedzieć, że wspaniały. To był rodzaj żłobka. Dzieci mieszkały w tym domu, a matki chodziły do pracy. Muszę powiedzieć, że dzięki opiece w tym domu dziecka mój Tadzio żyje. On miał dyspepsję, w związku z tym, że tak mało miałam pokarmu i jego z tego wyciągnęli. Była tam pielęgniarka, starsza pani - też więźniarka z 1936 r. z Leningradu i ona po prostu w tym moim Tadzium była zakochana. Różnymi sposobami go karmiła, bo on w ogóle nie chciał jeść - kłopoty były straszne. Bardzo tam o niego dbali. Nazywali go "Tazik" - a to znaczy taki kibelek do mycia.

Sanitariuszkami tam były Ukrainki, jedna z nich pracowała w kuchni



i też w Tadziu była zakochana. Był bardzo ładnym dzieckiem - miał czarne oczy, jaśniutkie włosy - jak albinos, policzki zawsze zaróżowione, Ale był tak słaby, że nie raczkował, tylko pełzał.

Była tam też lekarka - studentka medycyny z Leningradu, ale nadzwyczajna - miała cudowne podejście i wyczucie do dzieci. To była oczywiście też więźniarka, przystojna, dorodna dziewczyna, widać było, że z porządnej rodziny, bo to przecież można poznać po człowieku - po jego sposobie bycia.

Ja mieszkałam w tym samym obozie, w którym był żłobek, prace były dorywcze /w lesie, w obrębie obozu/ i kilka razy dziennie mogłam dziecko widywać. Potem do obozu przyszła naczelniczka, która przeżyła całą blokadę Leningradu. Wyszła stamtąd ważąc 37 kg. Ponieważ w międzyczasie nauczyłam się i pisać i czytać bezbłędnie po rosyjsku, więc zostałam wzięta do tamtejszego KWCz. Pisałam tam listy dla tych, które nie znały rosyjskiego, wypożyczałam książki, robiłam małe przedstawienia, i tam ta nowa naczelniczka kupiła mi /za moje pieniądze / akordeon. I potem żyłam z tego akordeonu - bo szybko się nauczyłam na nim grać.

Ale tam był taki zwyczaj, że dziecko jak skończyło dwa lata, to zabierano je z Kołymy na "amtierik". Była tam taka pani Magdalena Rozwadowska /bratanica generała/, ona miała córkę i właśnie jej córkę ~~mi~~ odesłano na "matierik". Ona ją potem odzyskała i jest teraz we Francji. Wnie udało się Tadzia uchronić od tego wysłania.....

Wracając jeszcze do tego teatru w magadanie i warunków: myśmy mieli osobny barak - tylko dla artystów, lepsze warunki i osobny "stół" - lepsze odżywianie. Onleba dostawaliśmy tyle co wszyscy, ale na śniadanie zamiast owsianki był tzw. galocan - taka duża kasza hryczana sprowadzana z Chin. Często dostawaliśmy ryby. Ja byłam tzw. "aktrisa pierwowo położeniija" i dostawałam miesięcznie 1200 rubli - ale na papierze. Oni od tego odliczali jedzenie zakwaterowanie i ubranie.

II B

Ale jakąś część mogliśmy wydać na swoje potrzeby - czyns w rodzaju czeku. Po zwolnieniu resztę pieniędzy dostałyśmy na rękę / za to kupiłam sobie ten akordeon/. Poza tym nie obowiązywała nas pobudka. Razvodu też nie było. O danej godzinie przychodził bojec, który nas prowadził na próby i na przedstawienia. To było inne życie, niż to, które prowadzili normalni więźniowie.

Ubrania na scenę to były pozostałości tego, co Ameryka przysyłała Rosji w czasie wojny i co ugrzęzło m.in. na Kołymie, a poza tym była w tatrze pracownia krawiecka, Prowadziła ją więźniarka pochodząca z Cherbina

- Ukrainka, bardzo zdolna krawczyni. W Charbinie było bardzo dużo Ukraińców, Tam też był aresztowany świetny skrzypek - Sasza.

U tej krawczyni ubierały się wszystkie naczelniczki z Nikiszowową na czele. Miała wrodzony talent - szyk, smak, a była młodą osobą - 25-27 lat.

Ja śpiewu uczyłam się u takiego pana Wasiliewicza Akczebasza. Jego ojciec był Turkiem, a sam pochodził z Kiszyniowa, śpiewał początkowo w operze w Bukareszcie, uczył się u wspaniałej śpiewaczki leningradzkiego teatru - pani Lipińskiej. Jak Niemcy zajęli Rumunię i część Rosji, to śpiewał w Udeskiej Operze i dlatego go aresztowano. Dostał paragraf za współpracę z Niemcami. - 7 lat. Ogromnie dużo od niego skorzystałam. On był bas-baryton. i miał szkołę włoską, więc bardzo dużo skorzystałam. On zresztą uczył wszystkie nasze śpiewaczki. Była Ukrainka - Tonia Winnik - zgrabna, przystojna, ona śpiewała w Księżniczce Czardasza, Maricę itp. I on też ją uczył śpiewu.

Na 25-tym kilometrze - tam gdzie był żłobek /1951 r./ o Tadzia - jak wspominałam - bardzo dbano. Musiano mu zrobić transfuzję, zresztą bardzo ryzykowną, bo ja mu dawałam swoją krew zakładając, że ja mam taką samą grupę krwi jak on - a nie było możliwości zbadania. Jakoś się udało. W tym żłobku były przeważnie Ukrainki, które Tadzika uwielbiały. - dawał mu śmietankę zebraną z mleka, pierwsze żółtko itp.

Tam się zresztą znowu spotkałam z Nelą Kozak i ona - jak Tadzio był bardzo chory - przepowiedziała mi, że dziecko będzie napewno żyło.

Z Wela spotkałyśmy się w Sylwestra na przekonie 52 i 53 roku. Siedziałyśmy na górze trzy-piętrowych nar i Wela postawiła mi kabałę - a robiła to wspaniale.. Rzuciła mi raz karty i mówi: "Słuchaj, ja tu widzę, że przez śmierć jakiegoś wielkiego człowieka - ty wrocisz do domu" Ja się trochę śmiałam - jakiego wielkiego człowieka?. Ale rzuca drugi raz i mówi, że napewno przez śmierć wielkiego człowieka - my nawet razem wrócimy do domu. I będzie nas dosyć dużo. Ja to naturalnie zapamiętałam... I w 1953 r. umiera Stalin i - co prawda nie zaraz - ale niedługo pojechałyśmy.

Wracając do sprawy Tadzika i dzieci. Po ukończeniu 2-go roku życia dzieci zabierano do domów dziecka na "matierik". Ja liczyłam, że mnie niewiele zostało do końca wyroku, bo miałam "zaczioty" i w pierwszym etapie udało mi się uniknąć wywiezienia Tadzia. Lekarka coś wykręciła, że jest chory, ale na drugi rok powiedzieli, że on bezwarunkowo musi wyjechać. Myślałam, że oszaleję....

A na tym 25-tym kilometrze był naczelnik od spraw gospodarczych - Polak z pochodzenia - Strykołowski. To był taki skurczybyk, ciągle się do mnie przywalał. Powiedział mi raz "Genrietta, mnie na was zub gorit", a ja na to: "pogorit, pogorit i ustaniet". W tym czasie odjeżdżała naczelnicka tego obozu i powiedziała mi, że nie mogę zostać w tym KWCz, bo mnie ten Strykołowski będzie maltretował. "Postaram się, żebyś ty była naczelniczką pralni i łaźni". Zostałam tą naczelniczką /bardzo doświadczona w tym praniu!/, a tam prało się bieliznę tym bojcom i wononajemnym - bo było ich tam sporo. Usłyszałam gdzieś, że dobrze jest dodawać do prania trochę nafty, zaczęłam to stosować i zaczęto hymny pochwalne wygłaszać na moją cześć, że tak czysto wypranej i porządnej <sup>wyprasowanej</sup> (bielizny /a sama prasowałam/ - nigdy nie było. Ja ciągle miałam do tego naczelnika jakieś prośby i pretensje - o sprzęt i środki, aż się denerwował.

Jest już początek 54 r. i Tadzia przydzielają do etapu. Pobiegłam do felczera z sanczasti, który sam miał kilkoro dzieci i proszę, żeby mi pozwolił pojechać z tymi dziećmi jako konwojentka, bbo nie chcę .e-by mi dziecko wywieźli. Felczer tłumaczył się, że nie może, bo Stryko-

łowski nie zgodzi się i będzie miał pretensje. Zaczęłam do niego przemawiać jak do ojca tyłu dzieci, w końcu zniękł i pozwolił mi jechać z tym konwojem. On jako felczer miał do tego prawo - przydzielił mnie jako sanitarną służbę zdrowia do dzieci.

Zebrałam wszystkie łachy i jedziemy do Magadanu. Ale tam był naczelnik - malutki, nazywał się Moskalenko. Idę do niego, przedstawiłam się, on coś już o mnie słyszał, bo nawet w tajdze ludzie o sobie słyszeli. To był normalny obóz, w którym wydzielono barak dla dzieci, które miały zostać wysłane. I znowu proszę tego naczelnika, żeby Tadzia nie wysyłano, bo mnie już zostało bardzo mało do zwolnienia i po co dzieci wysyłać i znowu z powrotem przysyłać na moją. Szkoda i dziecka i pieniędzy. Popatrzył się na mnie, pokiwał głową i powiedział: "Choroszo. Ale pyta - co z wami?. Mówię, że chciałabym wrócić na 25 kilometr. A on na to: "Ale przecież Strykołowski wam żyć nie da". Pomyślałam sobie - jak oni wszystko wiedzą! I poradził mi, żebym pojechała na sianokosy, dziecko ~~na~~ zostanie na 25-tym km, tamtemu przejdzie, a potem zrobimy co dalej. I pojechałam na te sianokosy.

Ja i na sianokosach i na lesopowale nigdy za długo nie pracowałam fizycznie, bo umiałam szyć, wyszywać, robić na drutach i zawsze coś robiłam dla tych brygaderek. One wpisywały mi dzień roboczy, a ja się działam w baraku i szyłam. Na jednym z sianokosów był jeden brygadier ~~który~~ wolny, który spytał, czy ja umiem wyszywać ścięciem Richelieu - powiedziałam, że natrzalnie umiem. I wyszyłam ~~całą~~ całą wyprawkę dla jego dziecka tym ścięciem - który był szczytem mody. I miałam święty spokój od pracy fizycznej. Jak była kontrola /oni o tym zawsze wcześniej wiedzieli/ to wysyłał mnie do lasu i potem sprowadzał z powrotem. I dzięki temu jakoś bytowałam - zupełnie nieźle.

Ten ostatni sianokon był jakieś 8 km od tego domu dziecka z 25-go km. Więc w niedzielę dogadywałam się z brygadierką - Ukrainką - bardzo młodym dziewczyną, żeby mnie puszczają do Dziecka. Ja jakoś umiałam dogadywać się z tymi dziewczynami. Raz byłam na sianokosie z samymi Ukrainkami - Rosjankami i Ukrainkami, ale one mnie bardzo lubiły.

I co tydzień - oczywiście pieszo - chodziłam do Tadzia. Dziś, jak sobie o tym pomyślę, to sędzę, że albo ja byłam taka wariatka, albo taka strasznie odważna, bo przecież tam - po drodze - można było stracić wszystko- z życiem włącznie. Ale jakoś mi się nic nie stało.

- tego sianokosu pojechałyśmy troszkę dalej - w tajgę. I muszę powiedzieć, że mimo tego, że to był obóz, ciężka praca itp. - było przepięknie. Płynęliśmy tam rzeką Kołymą - takimi "kungasami" - płaskimi, szerokimi łodziami - wśród dziewiczego, pięknego lasu, nie tkniętego ludzką stopą. Przyjechaliśmy na olbrzymią łąkę w tajdze - rodzaj torfowiska, a w tle tej łąki była Fudzi-Jama - nazywała się "Sajczik /?/" . To była chyba wulkaniczna góra - zupełnie jak Fudzi-Jama - smukła góra, pokryta wiecznym śniegiem - zupełnie bajka Wieczorem, w zachodzącym słońcu różowiło się, liliowiło, na tle ciemnego nieba - była cudowna.

-e mnie się wszystkie omiały:"Idiotka ciężka - tutaj do siana, a ta się zachwyca". Ja mówiłam, słuchajcie, to zupełnie jak u Londona. One oczywiście nie miały pojęcia o Londonie, ale ja im opowiadałam jego książki.

Z tego sianokosu pojechałam jeszcze raz na lesopowal, ale tam już tylko siedziałam i wyszywałam, bo fama poszła, że ja umiem. Przed samym moim zwolnieniem jeszcze raz pojechałam na sianokosy /to był już 54 r./ i tam zakończyłam moją karierę obozową będąc kuchmistrem. Naturalnie zupełnie nie umiałam gotować kaszy w tych olbrzymich kotłach, pierwszą przypaliłam. Złodziejki omal mnie nie zabiły swymi blaszanymi talerzami, wzięłam sobie do pomocy taką młodą Ukraineczkę, która była tak szczęśliwa, że nie musi iść kosić, że wstawiała o 4-ej rano, rozpałała w piecu, dziewczyna była ze wsi, umiała wszystko robić - właściwie wszystko za mnie robiła. Miałam po prostu szczęście. Ale była też bieda - naczelnik tego odcinka. Powiedział, że mnie nie zwolni, bo jestem mu potrzebna do wystawienia na to święto październikowe jakiegoś koncertu, czy przedstawienia. Tłumaczyłam, że - jak wynika z zaciotów - ja się zwalniam w październiku, ale on mówił, że jego to nic nie obchodzi co tam jest napisane i mnie nie puści. Ale naturalnie musiał mnie wypuścić.

Przyjechałam do Magadanu, a Tadzio był jeszcze na 25-tym kilometrze. Skontaktowałam się tam z Nela, do której zresztą przyszło dla mnie kilka listów od mojego Matusia. Ja nie miałam żadnej łączności z rodzicami - nie wiedziałam, że Mama w 1949 r. zmarła. Poszłam więc do Neli, a potem do Jeleny Rubinstein. Ona się ogromnie ucieszyła, opowiedziałam jej, że mam tu małe dziecko i co ja tu mogę robić. Ona obiecała mi znaleźć jaką pracę. I od razu miałam robotę - nawet trzy. Jedna - najważniejsza - to był akompaniament do gimnastyki artystycznej w pięknym Pałacu Sportu. W Magadanie było już wiele młodzieży, szkoła itp. Druga praca - to była w Domu Kultury, gdzie akompaniowałam do chóru, a trzecia - w szkole, ~~gdzie~~ gdzie też akompaniowałam do chóru.

Ale najpierw musiałam załatwić sprawy w NKWD. Ojciec w liście przysłał mi tzw. wyzew. I pytał, dlaczego ja się nie odzywam, on przecież tak długo te wyzewy mi przysyłał. I jak się zwalniałam w NKWD w Magadanie, i to w moich aktach osobistych były listy od mojej mamy, i ojca. Prosiłam, żeby mi je dali - "Nielzia". - taka małpia złośliwość, bo po co im to było?. W NKWD wypisali mi wszystko, że wszystko zdałam, załatwiłam itd., i idę do drugiego biura NKWD zameldować się, bo przecież mam jeszcze tę 5-letnią zsyłkę. Tam był naczelnik Dymitrow - przystojny chłop. Podaję mu dokumenty, a on mówi, że "Wam nada pasport". Odpowiedziałam, że ja tego pszportu /sowieckiego/ nie przyjmuję, bo ja mam wyzew i jadę do Polski. Myślałam, że z krzesła spadnie - tak się strasznie śmiał. Powiedział, że wyzew mogę sobie schować, ale narazie muszę mieć paszport sowiecki. i spytał, gdzie mam zamiar pracować. Odpowiedziałam, że mam już pracę w Magadanie, którą zresztą załatwili mi partyjni - Rosjanie ze Związków Zawodowych. Odpowiedział - że "macie szczęście", ale na Trasie byłoby wam lepiej". Ja wolałam jednak zostać w Magadanie.

Pozostała jednak kwestia mieszkania. Był taki barak /"obszczaja żyzn"/, w którym mieszkały stare kobiety - moje dawne znajome. Pani Rubinstein też tam mieszkała. Miała malutki pokoik, ale miejsca nie było. Wtedy Nela zaproponowała, żebym Tadzia przywiozła do nich /wtedy już była mężatką

- i mieszkała z Andrzejem Mackiewiczem/. Oni mieli taki domeczek "na kurzej stopce", z jednym pokojem, piecem, na którym w lecie się siedziało. Pojechałam więc po Tadzia, który bał się wsiąść do ciężarówki, która jechała z towarami i wzięła mnie. Tadzio przez kilkanaście dni był u Mackiewiczów, a ja spałam "na waleta" z jedną starszą panią w tym robotniczym baraku.

A potem ta starsza pani wyjechała, bo ją zrehabilitowano, a Irena Aleksandrowna zaproponowała, żeby do jej maleńkiej ciupki wstawić łóżeczko i Tadzio będzie u niej mieszkał. Ona zupełnie oszalała na punkcie Tadzia. Kiedyś mi powiedziała "Ja cię kiedyś przestrzegałam Giena, żebyś w obozie nie zaszła nigdy w ciążę, ale teraz widzę, że gdybym drugi raz przyszła na świat, to bym bez wahania zafundowała sobie dziecko".

Jakiś czas mieszkaliśmy w tym baraku, a potem, jak się już trochę zdomowiłam w "magadanie....."

### III taśma

i dzięki mojej pracy w Domu Kultury dostałam małe mieszkanie - też w tym samym hotelu robotniczym /"obszcze życie"/, w baraku, w którym było 8 małych pokojków. W moim pokoiku mieszkali się Łażeczko Tadzia, moje, stolik, maszyna do szycia, którą sobie kupiłam i mała piwniczka pod podłogą. Tadzio chodził do przedszkola, które - muszę zaznaczyć - było nadzwyczajne. Albo ja miałam takie szczęście, albo tak jakoś trafiałam. I sam budynek był bardzo ładny i wystrój wnętrza śliczny i świetna opieka. Odprowadzałam go rano do przedszkola, potem szłam do pracy, a dodatkowo jeszcze miałam kilka lekcji prywatnych gry na fortepianie. Uczyłam dzieci inteligencji rosyjskiej, która tam przesiadła i została, młodzi założyli rodziny i tam żyli i pracowali. Może nawet bali się wrócić w swoje strony? A tam żyło się im całkiem znośnie. Byli to bardzo mili ludzie. Nawet po powrocie korespondowaliśmy jakiś czas, ale w 58 czy 59 roku nagle korespondencja urwała się, odwilż się skończyła, więc ja też przestałam pisać, żeby im nie zrobić kłopotu.

Pewnego dnia idąc ulicą w Magadanie spotkałam mego nauczyciela śpiewu - profesora Akcebasza. Ucieszył się, że ja żyję, powiedział, że u Ireny Aleksandrowny R. zostawił dla mnie 400 rubli, prosił, żeby je przyjęła, napewno mi się przydadzą. On nadal pracował w tawernie, proponował mi tam pracę, ale ja odmówiłam, bo nie chciałam Tadzia zostawiać samego wieczorami. Co prawda dziecko było ulubieńcem całego baraku, więc jak miałam wieczorem jakieś próby chóru to spokojnie mogłam iść, bo wiedziałam, że będzie nakarmiony, wykąpany, położony spać, otulony itp. Specjalnie zajmowało się nim takie starsze małżeństwo - też byli więźniowie, którzy go uważali niemal za swego "synoka". Była tam też Polka - z Białorusi, która wyszła za mąż na Kozymie za Białorusina - i też się bardzo Tadziem opiekowała.

Obiady jadałam w szkole. To była żeńska szkoła - na dobrym poziomie. Dziewczynki chodziły ubrane w granatowe spódniczki, białe bluzeczki, czarne fartuszki z falbankami - jak przed wojną. Dużo było dzieci dawnej inteligencji rosyjskiej, a reszta chciała się do nich dopasować. W tej szkole była cukierenka. A ja przed zwolnieniem marzyłam o ciastkach - że jak już będę wolna to najem się ciastek z kremem za wszystkie czasy. I w tej cukierence kupiłam sobie cztery "eklery" - dwa zjadłam na siłę, a reszty już nie mogłam...

W ogóle miałam dużo szczęścia, ludzie mi bardzo pomagali i to w wielu wypadkach - ludzie wysoko partyjni. - jakoś nie bali się tego. Co miesiąc musiałam się jednak meldować na NKWD i za każdym razem pytałam, kiedy będę mogła wyjechać do Polski. Naczelnik odpowiadał, że nic nie wie. Ale jednego dnia spotykam "elę, a ona mówi, że podobno Polaków zapisują na wyjazd. Więc złapałam swój wyzew i biegnę do NKWD z pretensją, że mi nic nie powiedzieli. Naczelnik potwierdził, że szykuje się transport Polaków, ale jednocześnie powiedział: "Genrietta, gdzie wam się tak spieszy? Czy wy myślicie, że tam na was czekają z otwartymi rękami?" /To zresztą była prawda - nie czekali z otwartymi ramionami/. Ale odpowiedziałam, że tam jest mój ojciec, tam jest mój ojczysty kraj, ja tam chcę być.



Musiłam jednak załatwić sprawy we wszystkich miejscach pracy - że nie jestem dłużna itp. Dostałam takie zaświadczenie i w pałacu sportów i w szkole, a w domu kultury związków zawodowych - ta kierowniczka-jędza powiedziała, że mi nie wyda zaświadczenia. Tłumaczę jej, że ja muszę wyjechać do Łodzi, a ona, że ją to nic nie obchodzi, teraz będą uroczystości październikowe /listopadowe- rewolucji/ i muszę zostać, bo przecież będzie występować chór, balet i teraz nie mogę wyjechać. Więc ja ze łzami biegnę do MKWD. Opowiedziałam wszystko naczelnikowi, on wziął telefon i wtedy usłyszałam jak to "po matuszce" można się przejechać - nawet po naczelniku domu kultury. On strasznie ją zbluzgał. I jeszcze dodał: "Eto gosudarstwiennoje dieło. Jesli wy nie chatitie byt' tam, gdzie ona była tak podpiszitie". Wróciłam do domu kultury i naczelniczka ze zgrzytaniem zębów wydała mi to zaświadczenie.

Spakowałam co mogłam. Była tam Bronia Rzepa - Polka, która wyszła za jakiegoś szofera - Rosjanina, pytałam ją, czemu ona nie jedzie, ale ona została, bo bała się jechać z dziećmi i nie wiedziała, czy mąż będzie chciał - czy mógł z nią wyjechać. Więc zostawiłam jej wszystkie swoje zapasy z piwniczki, łyżeczkę dla dziecka, maszynę do szycia, resztę zapakowałam w "czamadan". Wzięłam jeszcze nocnik, który Nela ukradła w szpitalu - dla Tadzia i Wasilij Wasiliewicz mnie odprowadzał. To było 29 października 1955 r. Pamiętam tę datę, bo jeszcze 28-go obchodziliśmy uroczyste Tadzia imieniny.

Była tam taka mądra pani, która mi poradziła, żebyśmy wzięły ze sobą cytryny, które bardzo się przydały, bo Tadzio okropnie chorował na statku na chorobę morską. Zaokrętowaliśmy się na statek "Feliks Dzierżyński" /dawną nazwa "Hitler" ?/. Ten statek był strasznie dziurawy i jechał z nami konwój, żeby nas nie potopiło.

W trakcie tej podróży siedzę na górnych narach z Tadziem i nagle słyszę: "Gula, Gula" - patrzę, a to wołał taki marynarz, który był znaczni wcześniej zwolniony, zaciągnął się do marynarki i pływał tymi statkami. A wcześniej poznałam go i pracowałam razem w Tinkie - w kultbrygadzie.

/Tien'kin/

/ I drugi raz spotkaliśmy się na tym statku. Pokazałam mu Tadzika - bardzo chorego i słabego i on go wziął do swojej kajuty - po cichu, żeby komendant nie zobaczył. w tej kajucie mniej kołysało i ja z Tadzikiem jak jakiś czas tam siedziałam, zwłaszcza, że marynarze mieli ciągły alert i stałą wartę z powodu sztormu i przecieków przez dziury.

Na tym statku oprócz Polaków płynęli Rumuni, Węgrzy, Włosi, nawet kilku Francuzów.

Przy płynęliśmy do Buchty Nachodka, potem pojechaliśmy do Chabarowska. Stamtąd mamy odjeżdżać, a mój Tadzio dostaje okropnej gorączki - strach, bo mogą mnie z nim zostawić. Był tam pan Radomski Bronisław, felczer, uważał się za lekarza, poszłam do niego, żeby zbadał Tadzika, a ten: "To dyfteryt, pani musi tutaj zostać". Mnie mało szlak nie trafił. To nie był żaden dyfteryt, tylko dziecko było zmęczone podróżą i taka była reakcja. Ktoś mi dał aspirynę i gorączka minęła. Jeszcze przed wyjazdem poszłam na zakupy, kupiłam sobie złotą bransoletkę, potem wchodzimy do sklepu spożywczego, a tam na półkach stały butelki z szampanem. A mój Tadzio: "Mamo, szampanskowo"! - Tak się ucieszył. Zapamiętał te butelki z szampanem z dnia swoich imienin, na których piliśmy za jego zdrowie ten szampan - i dziecko zapamiętało, miał już przecież cztery lata. On już wtedy umiał deklamować długie wiersze, naturalnie po rosyjsku. W tym sklepie ja myślałam, że się spalę ze wstydu!

Potem jechaliśmy pociągiem. I było tak, jak Nela wróżyła: Mackiewiczowie byli w jednym przedziale, a ja z Laudami - w sąsiednim. W przedziałach nie było drzwi, leżało się na narach. Nary były też w przedziałach, na nich spali panowie. Na stacjach dawali nam jakieś jedzenie, poza tym kupowaliśmy sobie - jeśli coś było. Pamiętam, że wysiadłam na stacji w Swierdłowsku coś kupić - /Tadzio strasznie ryczał, że się bał - taki był "strachoput" / i tam była babuszka, która sprzedawała lepioszki. I do tych lepioszek biegł kto żyw - i major i pułkownik - taka była nędza.

Do przyjeździe do Polski cały czas utrzymywałam kontakt z Mackiewiczami - aż do śmierci Neli, która po powrocie z obozów ciężko zachorowała.

ła na cukrzycę. Mieszkali w Krakowie i tam opiekowali się, właściwie wychowywali jedną z trzech jej wnuczek /Nela miała jeszcze przed wojnę syna, który miał trzy córki/. Bardzo im było ciężko, zwłaszcza z poczynku, np. jak starali się w Krakowie o mieszkanie, to im powiedzieli, że "przecież my was tutaj nie zapraszaliśmy". Ale wnuczkę wychowali nadzwyczajnie, dziewczyna skończyła konserwatorium, jest skrzypaczką, w tej chwili jest nauczycielką muzyki i ma duży talent pedagogiczny. - tak jak babcia. Dom Mackiewiczów - i w Magadanie i w Krakowie był zawsze bardzo gościnny i miły - wielu ludzi się do nich zjeżdżało.

W Magadanie Nela - ~~już~~ dyplomowana pielęgniarka - pracowała w szpitalu w Magadanie, ale nie jako pielęgniarka - nie pozwolili jej na tę pracę, bo ona miała "kagier ostrowo reżina" - za to, że złapali ją z bronią w ręku we Lwowie. Ona była bardzo czynna w AK, szalenie odważna i nakryli ją z bronią w ręku - na ulicy. W czasie śledztwa strażnicy ją bili, kazali klęczeć na żelaznej "roguszce" klęczeć godzinami. Bili ją po głowie, tak że została prawie łysa, a miała przepiękne, długie włosy. Potem jej te włosy odrosły, ale blizny miała. Na Kołymie często zmieniano jej obozy i były to ciężkie obozy. Wyrok miała 10 lat. A Andrzej Mackiewicz był na Kołymie 15 lat - zaaresztowano go koło Wilna, tam mieli majątek i jako tego burżuja zaaresztowali w ~~39 r.~~ i w 40 r. wysłali na Kołymę. Był to bardzo dobry człowiek, przed wojną był wielkim społecznikiem - tworzył różne kółka oświatowe na wsi. Po jego aresztowaniu cała wieś poszła na NKWD prosić, żeby go wypuścili, bo to był taki dobry pan. Na Kołymie pracował w kopalni, potem przy wyrębie lasu i tam miał wypadek - coś uszkodziło mu oko i miał bielmo. I nawet dostał odszkodowanie z Magadanu. - w końcu lat 60-tych - 20tych złotych /tak przeliczyli z rubli/.

Andrzej zmarł w czasie stanu wojennego - na początku 80-tych lat, a Nela - w 85 r.

*W 1950 ożenił się z Nela - a potem w 1952  
- w 1952 zmarł w wieku 80 lat.*

# 1. Stosunki między narodowościami w obozie.

W 1946 r., gdy przywieziono masę transport do Magadanu najwięcej było w obozie Ukraińek - banderowek, potem dużo Rosjank - szczególnie starszych, które odniadywały wyroby polityczne (często bez podania terminu zwolnienia) z lat 1936 - 37, a następnie cały wachlarz narodowości: Polki, Niemki, Czechy, Litwinki, Tatarki, kobiety z terenów Azji Środkowej.

Naturalnie wrogo były do nas nastrojone Ukraińki, co wydawało by się naturalne u należącej do zgrupowania Banderu.

Nie można tego jednak generalizować, gdyż pracowałam w teatrze z kilkoma z nich, które ztapano na Lemkowszczyźnie i nie było nigdy między nami nieporozumień na tle narodowościowym.

Prawda były one inteligentne i dobrze wychowane.

Były jednak Ukraińki - specjalnie te ze wsłone nas nieustraszone i te często domotyły me nas do komórek NKWD, które to znajdowały się w każdym obozie. Najpierw liczyły na jakiś komys.

Znam to z autopsji, gdyż kilkakrotnie wywane byłam i w Magadanie i na trasie do Taliej komórki i wypytywana co to moje „nieubaczi” Tak się gromadzą i przepierają między sobą.

Miałam zawsze jedną i tę samą odpowiedź:

„Nie wiem, gdyż ja z nimi nie spotkałem.”

Ze taką odpowiedzią, na temat „znalazłam się „za karę” na wygnaniu lasu - na strażnicie nie na długo.

Przykro o tym mówić, ale jak to niestety w styczniu od Wielkocześ i matrych kochanych narodzie (aż do dzisiaj!) zaraz porobiły się grupy Polak „Tyche lepszych”, które potoczyły z góry na „te góry” i było to zamieszanie, że w tej strasznej niedoli i niewoli tak się kompromitujemy.

Pomóżcie „nominacja sumy odiosa” nie będący miernymi nazwiskami, lecz konieczność musimy wspomnieć o dwóch matrych współorganizatorach, dla których sprawy były różni!

Pierwsza to: Nela Machnińska, wstępując do obozu Kozak, która przechodząc szczyt - jako szlachanka na obóz o obywatelowym reżimie - i ciągle przemycana z obozu do obozu, zatem, gdy słynęły się matry obozowe drogą potrafiła podnosić na duchu, pełna wewnętrznej pogody, nadziei i siły.

Druga to: Nina Wojnicka, która pracowała w magazynie i sam-ekspozycji (falej mi by psychologii obozowej) wojny, która rozdała rodaczkom leki, a specjalnie witaminy. Nie kompromitowałam z jej pomocy, gdyż pracowała w teatrze byłam na „lepszym” miejscu, lecz żyję jeszcze pamięć z grupy Tyche „lepszych Polak” i chyba pamięstaje, - bo powinniśmy - jej miernopłynie zasług.

Z innymi narodowościami układało się różnie, zależnie od postępowania z ludźmi.

2. Nie należało „dzwiedz nosa“, bo to było głupe i mię  
na miejscu, gdyż wszystkie majdowatyśmy się w jedną —  
kora trudnej sytuacji. Jeśli chodzi o mnie, to mię mo-  
gę namelad abym miała jalsieś mienite przesćie.

Trzeba, że Ukrainki i Litwinki z Wileńszczyzny próbo-  
wały do mnie mówić po ukraińsku lub litewsku, lecz  
na moje że śmiechem powiedziały: „Nie wstydź się,  
młodzi młodzi, że do szkoły chodzisz i tobie i z ma-  
język“, zaproszawaty swoich mienitnych wysłuchów.

Na trasie, gdzie ścinałam las i kosiłam trawę przez  
kółtora roku byłam z samymi Rosjanami — „młkami“  
złodziejkami, z których między siedziata w obozach  
od 16-go roku życia. Tam trzeba było być bardzo  
ostrożnym, bo element był trudny, katrokaralny i moż-  
na było dostać nawet nożem, a w najgorszym wypadku  
być pobitym. Pomierzał przeważnie byłam jedyn-  
ym inteligentnym stworzeniem w tym bagnie u-  
miejętym czytać i dobrze pisać po rosyjsku, po rosyjs-  
kowskich dokuczaniach, na przykład mię „pami na ka-  
bami“ (śsini) lub „żydówka“, towarzysko upokazyta się,  
bo trzeba było napisać list do bliskich, lub młodziom,  
gdzie przyszło się umiarkowanym z pracy a serc mię  
nadchodzi, postuchacé opowiadai o innych, ludzkim  
świecie, które im w obfitości serwowataw.

Naturalnie, że z biegiem lat te animozje zacieraty się  
z wyjątkiem animozji wśród Polek — mięstety !!

Zaczęta nas przecier ta sama niedola, nigdy mię se-  
dziłyby, że dostaniemy się do domu i zasmieny  
przyzwolite życie

Natomiast od Rosjanek - tych starych - bylych wiez-  
niarek, a nawet partyjnych dochodzalam wiele pomocy po  
zwolnieniu sie z obozu. Miatalam odrazu przygotowane dwie  
prace, jakis - taki lozow, a nawet pomoc pieniezna.

Trawde, ze wszyscy ci ktorzy mi pomagali, albo doznali  
tej samej doli co ja, albo podpisali „dogovor“ (umowe)  
na wyjazd i prace na kotlowni szereg moich umiowc wozk-  
owych ktorotow, rozbijajac na miejscu.

Oboz do ktorego dochodzalam sie jalo ta pamienka  
z t.zn. dobrego domu, matrona, niemowleta do fizycznej  
pracy, odrazu dala mi w tydzien (pardon!) i odnegal,  
ze trzeba sie wzosc w gosc, zapomniec o tym co bylo i ma-  
musc' twardego zycia.

Kaucykt miie oboz pobaxlikosci i choc nigdy nie  
bylam osoba „pamietliwa“, po przejsciach obozowych  
zupelnie sie na mecie'a zala, czy gniem podprokitam.

Smiercy miie gdy ludzie zabiegajac - naturalnie nad-  
miennie - o dobra doczesne, bo to w sennie jest tak ma-  
to wazne w zyciu.

Moim skromnym zdaniem najwazniejszym w zyciu  
jest: zdrowie, dobre samopoczucie, pogodnie spoj-  
nienie na swiat i ludzi, serdeczny stosunek do bliz-  
nich, umiejetnosc bycia „sciana, placzu“ dla tych  
ktorych jest to b. potrzebne, poczucie humoru i glos-  
bowa, miakochlana wiara w bratnosc i Kaslo Bozle.

Najbardziejym mecie'm dla miie w obozie  
byl fakt odizolowania od normalnego swiata, trakto-  
wanie nas jak nie - ludzi, ciagly bycie w tymie ciemnem

3. nieprzejrzystym a często niezbyt czytelnym (ach! To pamiętam „marchówkę” zimną, gdy surówki się nad żelazniakiem i barakiw kamoczne wędziane walouki i niezbyt czyste omyse!), ciężkie sławanie na baszność przed byle obserwatorem, tyle że i mundałami.

A najbardziej raniącym serce faktem było odwołanie od Rodziny i braku od niej radości, co - gdyby się udało mi się tymczasem w garści - mogło doprowadzić do kompletnego załamania psychicznego. W tych warunkach poręczył mi się coś - wódek i wódek, że głowa, miemu mię przewija - z konieczności - staje się miejscem wstępnym i może to go ratuje. Tylko we śnie wraca się do swojego „utraczonego raju”. Przebudzenie było jednak drugim wstrząsem.

Trzęsienie podło.

Wse Lwowie po powrocie z obozu mię bytami ami raku - miemu wiele okazji, gdyż mię mogłabym przeżyć między tego Ukochanego, Walecznego, Rodzinnego Miasta, Wzrostu i zadaniętego i mięskiego raku - i wódek barokowych. —

Henryku Jablonskiemu  
Jelitkowo 6.6.1996 Boże Ciało



## Dodatek

Tommasu wspomnieć jeszcze o jedynym z dwóm obywatelom, który miał miejsce, a miało być o lesbijkach.

W Magadanie, w baraku, gdzie „mieszkałam” były także 2 pary.

Strona „zeiska” tego związku wyglądała normalnie, nawet dość przyzwoicie i miała dziewczynę.

Natomiast strona „mesla” była to naprawdę zbudowana osoba, która ostrożyła, porządkowała się po meslu o misliu, grubym, nieco ochrypłym głosie.

W obozie przeważnie te „mesle” stromy były asenizatorami, wytwórcami męskości.

Te stromy „mesle” nazywano „kobiót”?

Trzeba było mieć jak ten „kobiót” delikatnie i troskliwie odnosić się do swojej partnerki.

Oczekał na nią, gdy wracała z pracy (a pracowała poza obrobem obozu) z rozmiętym i mudytem (wsiem baraków były mudytemi), jak wyręczał ją w pracy, jak się jego „pami” skuje.

Stromem <sup>mężczyzna</sup> męskim mógłby się od tego „kobiót” nie mieć postępowania z kobietami.

W bibliotece obozowej pracowała b. inteligentna i przyzwoita blondynka, przemiła osoba, dobrze wychowana rosyjka z Leningradu - miłośniczka lesbijka.

tennego razu, gdy bytyśmy ~~zobacz~~ razem w bibliotece i' miniatyśmym sobie pogawędlić, zapytalam się jej: „Galina, także z ciebie żadna i' miła dziewczyna, czy naprawdę musisz się zadawać z tym kobitom? czy zabrakło dla ciebie mężczyzn?”

Edumiała mnie jej odpowiedź: „Ty mi masz pojąć, że ile rokłosy może dać kobieta kobiecie, to mi do o-  
pisania. Niedaruno jest rozysileć przytomie:

„Póprobujesz palecyka (palec), mi zachociesz malecyka“!!!“ Zupednie mnie zatkato. No cõx, każdy jest panem swego losu, lecz żal mi było tej dziewczyny tak miłej, lecz tak ogromnie cynaturowej.

W oborach meslich - jak stykalam - naturalnie też miaty miejsce różne cynaturzenia jak homoseksualizm i' różne skandaliczne, ~~to~~ obrydlivosti.

„Ale to już zupednie inna historia“ - jak mawia Kipling i' mi moja dziadka.

Henryka Folwarczku  
14.6.1996 Glińce

Henryk Falszajny  
z d. 95d  
ul. Zyciejska 5m4  
44-100 Glince

## Powrót

Wraciałem do Polski (miastety PRL'owskiej) 3.12.1955 r. po 10-ciu latach, bez 10-ciu dni nieobecności w domu.

Podróż trwała od 29.X.1955 r., gdy usiedliśmy na statek w Buchcie Nachodka, do 3.12.1955 r. gdy przyjeżdżałem do Żurawicy pod Pniewy. Nie byłem zbyt obciążony bagażami.

Miałem 1 „czamodan” drewniany, zrobiony jeszcze w okresie przez Estończyków, walizkę fibrową kupioną w Magadanie „na wolności”, podręczny bagaż ze brodkami sukienki, mięsne ilości jedzenia i ryby, które bardzo były potrzebne bo Tadzio cierpiał na chorobę płuc, oraz co było bardzo ważne miałem wspomiaty nocnik ukrađziony przez Nękę Machienicę w szpitalu w Magadanie.

Jechałem przecież z 4 i 1/2 godzinami dwucieczem i to „maszyno” było mi najbardziej potrzebne!

Jechałem też drugą trasą Transsyberyjską z Chebarowska - trasą budowaną jeszcze przez Polaków zstępującą po porostach - ponieważ po-ciąg mi był objęty rozkładem jazdy, tylko jechał w ten sposób, gdy miał zielone światło.

Karminow nosił po drodze na wszystkich stacjach, a kto miał pamiętać to - przy drugim powrocie -

moż sobie coś do jedzenia dokupić, ale było z tym kłopot.

Widziałam jak w Świerdłowsku mychata na peron babinka z woźnicem jedynym „kierioszok” (coś w rodzaju placówk drożdżowych) i kto się - a koszarady tam setki ludzi czekała na pocąg - cyrul, cy wojshoty nawet wysoki rangi biegł, aby choć kilka kupić.

Wagony były podzielone na przedziały, nie zamknięte, a w nich po tym miejscu do lesenia na przeciwległych ścianach (środkowe do podnoszenia), w korytarzach też takie miejsca leżały

Przed przekroczeniem granicy zdawało się nam, że słysze serce pękać z radości i szczęścia, że wstępujemy do Kraju, wycpane z tego bolshenickiego koczmaru.

Nie z tych rzeczy. Na granicy spotkali nas wojshoty i w mundurach ówczesnej armii polskiej, mówiący miękko i miło polskim językiem.

Linęto to spotkanie jak sen.

Wzięto nas na miejsce 8 km. do Kurassiej i tam zakwaterowano u dwóch barabach, gdzie ekwalizujemy na kadawnie formalności, które umożliwiły nam dalszą podróż do domów - mnie, do Taty, do Bytomia.

Po trzech dniach, otrzymawszy kartę repatriacyjną i 2 tysiące zł. „zapomogi” (a materiało mi się jak się później dowiedziałam 5 tysięcy) ruszyliśmy z Tadziejem, z darmowym biletem kolejowym

w dalszą drogę.

Do Bytomia przyjechaliśmy wieczorem.

Miśtety, Taty w domu nie zastałam, był w Szpi-  
Talu - jakże poważnie chorował na astmę płucną,  
i sercową - bez swojej daty mego przyjazdu,  
gdyż przystałam telegram, zostawił klucz u są-  
siadki.

Weszłam do bardzo skromnego mieszkania  
- aż mnie zadławiło - długi pokój z 2-cku oknami  
z przepięknymi piecem kaflowym i kuchnią.  
Dwa balkonikowe na ciemny brąz - okropność!  
Ubiórka na podłogach, w kuchni wodociąg - o ka-  
piące aż śmieć - drapalnikiem kuchnia gazowa  
i żelazny piec dosyć duży na węgiel.

Pokój od północy, kuchnia od południa.

Smutny to był widok. Byłam jedynaki w domu  
i pełna nadziei, że jakoś to się wyprostuje.

Na drugi dzień rano pobiegliśmy z Tadeuszem  
do szpitala, do Taty i zobaczyłam tam po 10-ciu  
latach młodą, czystą, kochaną, smutną  
Mamę, którą ogromnie kochałam, która wypró-  
biła co w życiu zdobyła bardzo ciężką pracę,  
a było tego niemało - no i naturalnie swoją  
b. ciężką, intelektualną, słobą, (na którą  
zmarła w lipcu 1958 roku). Życiu mi było  
koniec.

Siostra moja z dwójki dni mieszkała w Krakowie,  
brat - dentysta - odbywał staż pracy w Tarnowie. %

Pieniądze naturalnie szybko się kończyły a na  
pomoc materialną i mi mogłam i mi chcia-  
łam liczyć i musiałam się rozprężyć za pracę,  
aby wyżyć dziecko i siebie.

Skizzi brałam znalazłam pracę kierownika, działu  
kulturalno - oświatowego w domu Kultury Zaldadów  
Mechaniczupów w Jarosławie.

Zacząłam pracę 4 połowie stycznia 1956r., lecz do-  
piero 1 lutego podpisało ze mną umowę o pracę,  
gdzie najpierw musiało „zweryfikować” moje  
kwalifikacje i umiejętności.

Zweryfikowano mnie w Krakowie.

Mój Boże! jaśnie tam były i dojarli siedziący  
za stołem „prezydialnym”! Krew szła mi na za-  
lewatą, że musiałem stać przed exymis Talim  
i mówić o sprawach, o których to - to nie miałem  
bladego pojęcia.

Musiałam jednak mocno zacisnąć zęby aby ~~jednak~~  
zdać i aby uknao mnie za „zdolną” do pełnienia  
tej funkcji.

Examin wypadł pozytywnie, nawet bardzo i zo-  
stałam przyjęta na pracownicę z pensją 8700r. miesięczną.

Naturalnie w życiu musiałam czekać, że byłam  
aresztowana za pracę w A.K i że spędziłam tyle lat w  
obozie. Aby mi narazić się na powtórne aresztowanie,  
piszałam, że na skutek „działania wrogich” znalazłam  
się na Kofunie.

Stosunki w tym domu Kultury były, delikatnie

3. poriadkowy trudne!

Kierownikom by naturalnie prosta, lecz gor-  
liwy partyziny, który podpiera się „wytycznymi”,  
chciał przede wszystkim styczeń nos i na wyrostku  
znać się lepiej.

Ale nie ze mną, te numery!

Бат spokój!

Mieszkanie (pokój) dostaliśmy w hotelu robot-  
niczym oddalonym o kilkadziesiąt metrów  
od miejsca pracy.

Tadzia zapisałam do bardzo przykrego  
przedstawiła, gdzie natychmiast stał się ulubien-  
cem swojej sylwetką.

Tudzież to był okres, gdy miałam t.j.z. „mie-  
normowany” dzień pracy i „skwitaw godzinami”  
w domu kultury.

Tomieński uposażenie może było jednak - ja  
może wymagania i potrzeby niedostateczne (ka-  
cynatam przecież od przystawki tyżli i misli),  
podjął się również akompaniowania do  
dziesięciu zespołu baletowego (gdzie były tam  
dziesięć kółka zainteresowań), a mając śred-  
nie wykształcenie w tym zakresie „zgrabił-  
my” się z panią prowadzącą balet i stworzył-  
my tandem nie do pokonania.

Miałam pięknie osiągnięcia prowadząc dzie-  
sięć kółka dramatyczne i na różnych prze-  
glądach i wroczyściach, których było bez

liku, byliśmy wysoko oceniani.

Ydylła mi trwała długo. Nie mogłam znaleźć  
starego przyjaciela i współpracownika tego absolutnie  
głupiego leniowca, który nawet pisze dobrze nie  
umiał i gdy tylko głowidziawał się, że istnieje  
możliwość odzyskania posady nauczyciela  
w szkole muzycznej w Bytomiu, wygadał wrony  
z całej duszy to co mi leżało na sercu o głu-  
pocie, bałaganie, niemięskowości leniowca który  
w sierpniu po 7-ciu miesiącach „zwolnej”  
pracy w Warszawie, powrócił do Bytomia.  
Od 1. IX. 1956 r. zacząłem pracować jako nau-  
czyciela gry na akordeonie i fortepianie  
w Oddziale Społecznym przy Szkole Muzycznej  
w Bytomiu z pensją 920 zł. miesięcznie.

Tadzio chodził do przedszkola, a gdy Tato  
był w domu - w przerwach między pobytami  
w szpitalu - gospodarował razem z Dziadkiem.

Tadzio było dzieciństwo Tadzia.

Ażby jako-tako umieblał się i domu postawić na  
nogi musiataw jeszcze mieć gry na akordeonie  
w liceum dla wychowawczyń w przedszkolu, oraz  
udzielać lekcji prywatnych, które dawady mi  
wielki dochód.

lekcje były dawane „po domach”, to biegałem  
na mię z Tadziem, lecz gdy byłem w szkole -  
zanim po południu - to trochę siedziało  
w domu, często same, po śmierci Dziadka.



4. Ciężkie to były czasy i niewyobrażenie prawdą było, że  
nikt tu na nas nie czekał z otwartymi ramionami.  
W kwietniu dodatkowo zaczęliśmy obmyślać zna-  
jome panie, aby zarobić dla nas na wakacje,  
które przeważnie spędzaliśmy w wiosce Hel u prze-  
mitych starszych - kaszubów.

Znajomych, przyjaciół mi panie miałyśmy dosyć,  
przedewszystkiem wśród mam koleżół i koleżanek  
Tadzia. Pomiarowi dosyć łatwo udało się nawią-  
zać kontakt z ludźmi, była nas grupa  
gromadka i te znajomości używały się do  
dziś.

Tato mój zmarł w lipcu 1958 r., gdy Tadzio  
szedł do 1-szej klasy.

Tu zaczęły się „schody”.

Dziecko samo w szkole, ja poprostudium w szkole.  
Z odrabianiem lekcji były kłopoty - F. zu.  
mi było systematycznego odrabiania lekcji  
i doglądania dziecka, co uważam za miękki  
w pierwszych latach nauki.

Zaległości odrabialiśmy w sobotnie wieczory  
i niedziele.

Ażeby nie było zbyt wiele wolnego czasu, to  
co miesiąc w niedziele (aby mi wypocząć) mia-  
łyśmy w Katowicach w Wyższej Szkole Muzycznej  
kursy dokształcające.

Musiłam to wszystko jakoś uporządkować,

strawić i' przekić.

Mimo tego, że byłem, dobrze zakartowane  
w „bojach życiowych” przez oboję, natchodniły  
mnie momenty ogromnego zmieszania i' absolut-  
nej apatii.

A tu mi' można było się poddać, bo miałam  
obowiązek na całej życie — upragnione dziecko.

Tak więc w tych momentach wradylałam do  
Dr. Tadeusza, magadalam sobie różnych róż-  
ności i' dalej do roboty.

Robota, robota, kulturalnie i' kulturalnie też  
swoją drogą, ale byłem jeszcze stosunkowo  
młody osobą spragnioną życia kulturalnego,  
a nie tylko „orli”!

Chciałam też w to życie wprowadzić moją  
syna, tak jak mnie wprowadzili moi Rodzice.

Naturalnie były to losowe sprawy, lecz  
w międzyczasie miałam dosyć, a więc rozprę-  
żenię w Opere Bytomskiej, wspaniałe syste-  
my wspaniałych solistów, czy dyrygentów ze  
Stokholmem na ciele były nasze!

I tak w pogoni za kulturą krążyliśmy  
między Bytomiem, Katowicami i' Zabrzeżem.

Umiałałam nam to nasze dosyć trudne życie  
a Tadeusz, do dzisiaj pozostała miłość do  
muzyki i' gdy mu coś „skwierczy” w duszy,  
siada do naszego wielkiego fortepianu i' gra  
swoje ulubione melodie, aby mu „przekić”!

5.

W 1960 roku udało mi się zamieszkać mieszkanie na wieżce. Miałam sypialnię z kuchnią, z balkonem, łazienką, kompostowe / mieszane / z piecem do palenia / stonowane 80 m<sup>2</sup> - tyle, ile na 4-tym piętrze.

Ale co tam, byłam młoda, sprawa fixacji, do noszenia zegła z pistolety zrobił mi opisek mekka, wprawiłaś "kolorysta" i znowu było dobrze.

W międzyczasie kupiłam alondow, fortepian (stary, bo stary, ale gra do dzisiaj) jakiejś takiej mebelki do pokoju i kuchni i tak ja-koś pomalutku życie się toczyło.

Trzeba, że zapracowałam byłam podrobnie, bez żadnej wolności, chvilę staralam się spędzić z Tadkiem i zastąpić mi mnóstwami książek, muzyki, teatru, gdyż to bardzo potrzebne, pomaga i podtrzymuje na duchu w chwilach smutku, złości i nawet duże psychicznego w które od czasu do czasu popadam.

Wtedy to było nam życie to spokojnie to burzliwe, gdy w lutym 1963 r. poznałam naszego pana - inżyniera mechanika, inteligentnego o szerokiej zainteresowaniach, wysokiego, przystojnego - stonow rudo!

I to był mój pierwszy mąż!

Pobrałszy się w dniu moich narodzin

18 stycznia 1964 r.

Ja miałam 43 lata, mój Kajmilion 57 lat,  
a wiec „powa niedoczel” liczyła sobie 100 lat!  
No i bardzo dobrze!

Przepraważiłam się z Tadeim do Glinic, do  
miejsca mego (120 m<sup>2</sup>), gdzie mieszkałam do  
dziś i w samym centrum Glinic.

Jeszcze parę słów o Tadeim, utymotiwionym przez  
mój go mego i pół roka po naszym ślubie.

Wszysto się to moje kochane dziecko, ie mieli  
Bóg broui, ale maturoz jako-takó zolato.

Między na czyjne studia nie dostał się (ocean  
na śniadecimie i „pochodzenie socjalne” kiepskie,  
gdzi ojciec - inżynier na dostomadej posiadzie),  
pewizdu, aby „kupic” miejsce na studia nie  
miałam - xrestto nie dasabym!

Tomek z Tadeim do wojsha. Zagrali go do  
Fonogonia (jaki tam jest pisany kościół ro -  
mański z resztkami fresków średniowiecznych)  
a potem do Zagania.

Rozem z moim pojechałim naturalnie  
na pierwszy (ukruszajęca mocnytość) do Fonogonia,  
a potem mama sama zabrała się  
z wieloma przyjaciółmi do Zagania, aby  
kochane dziecko, ktoremu co tygodnia wytyła  
pewli - zobecnyć jak się ma.

To między z wojsha pracował i mając 25 lat

6.

orient się - niestety niekiedy fortunnie - ma dwie  
dzieci: syna Gregorxa i córkę Yvonę.

Niestety, matkęństwo rozpadło się po 8-ym latkach.  
Dziewięć lat naturalnie pochyłał matkę, która na  
wszelkie sposoby utrudniała odziedzenie ojca z dzieć-  
mi. Ale to już zupełnie inna historia.

W czasie trwania matkęństwa Tadxió pracował  
jako motorniczka tramwajowy - kreską świetnie zara-  
biając i uznany za doskonałego pracownika,  
którego kreską przekonywało być - został wytypowany  
na roczne studia prawnicze, które dobrze ukoi-  
ły w tym czasie na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.  
Następnie zaczął aplikację sądowego karnego,  
którą ma ukończyć w 1997 r.

Pisze równocześnie doktorat p.t. „Przeobrażenia  
gospodarstwa” (temat niesłychanie aktualny).

Podziwiałam jego upór i pracę kreską, ciężką  
w czasie studiów. Był już w ten sposób kierownikiem  
katedry szkolnych w W.P.K (a więc odpadło  
wstawanie o 4-tej rano), gdzie zaprowadził rekwi-  
zycie rozpisany, lecz chyba odpowiadało to jego  
uczniom, bo słuchali ochotnie sztopisko -  
długale (pan kierownik 164 cm wzrostu),  
gdzie do dzisiaj gdy go spotkają, słuchają dłu-  
go się z nim swoimi osiągnięciami i niepo-  
wodzeniami też.

Studia prawnicze Tadxió, to był szmas

w dwudziestych. Okazało się, że moje dziecko  
jest urodzonym prawnikiem (a nigdy w  
rodzinnie nie było prawnika), kochanym  
w swoim narodzie i co najważniejsze mni-  
jęcym myślę i mądrze „po prawniczym”.

Obecnie pracuje w Spółdzielni Mieszaniowej,  
jako zastępca prezesa

Jeśli chodzi o moje zdrowie, to nie jestem nie-  
stety dawny Herkules.

W 1974 r. ujęto <sup>mi</sup> prawa nerwe, (tak od momentu  
przy upadku) byłam następną bombą ko-  
balową. Na szczęście prawa nerwe (odpuścił)  
funkcyjny dobrze.

W 1951 r. usunięto mi kataraktę z prawego  
a w 1954 r. z lewego oka. Obie operacje przeszły  
dobrze. Widzę - naturalnie przez okulary -  
świetnie. A pozostałe katarakty sięgają obojczy.

Kreготип mój niestety nie jest w najlepszym  
stanie i w związku z tym w lutym 1996 roku  
otrzymałam inwalidztwo wczesne I grupy.

1991 r.

W 1951 roku 20 lipca zmarł mój mąż ma-  
jąc 84 lata i chorując tylko 8 dni.

Mieszkaamy więc teraz razem z synem  
(który nie ma ochoty, po przybyciu, doświad-  
czeniach znieść się / i wolens-wolens prowadzić  
gospodarstwo domowe, choć bez większego  
entuzjasmu.

6. VI 1996

A jak tam Pami Chadler - fu -  
chadler?

Čy byta jiz tam Pami po zimě?  
Čelava jětem. Mam co prave  
votplivost' čy pyk Talim narale  
pracy ma Pami čas na „vysholu“;  
leč gdy si sloučy pisam na  
napesko odelimé Pami, ho treba  
homičimé odprejč' se, aby nabrac'  
sít do nastepnych znojón.

Bytam na ukrasach y jeti tlvomé  
(Tadxi mi je zatajón), pozode miá -  
tam vpramiaté - odelimé tam s' od -  
kostam.

Čelava jětem čy s' jěroce  
médyč bedriemý miáty možnosť  
spóthac', baxdobyw tego chciása.  
Vpraxdie móvra je chieč' to móč,  
ale to musí dotyčyc' obyčnu  
Aron.

Jak se miéra vumozřelo?  
napravo jsi chodil i 'Trotreclie,  
vóbuje mórno', a Babcia se  
cítly - miedy jednym xafěcím,  
a drugim!

Koučce moje zhraba-  
mínz, serdecnie me tyllis  
pordraniam, ale musis  
cátlyz, a od mojej podroś-  
místy' tacičky nestraniá  
vócxel) Heus

P.S. jezeli tani' moje fotografie  
me potrebue, to proty uprej mne  
krestad mi' pé  
Sijluyz He